

Maria Jolanta Opalińska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0339**

Data urodzenia: **09.11.1940 r.**

Data nagrania: **15.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Milanówek, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 45 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Jolanta Opalińska: Nazywam się Maria Jolanta Opalińska. Od dziecka używam imienia Jolanta, Jola. Moi rodzice to Jadwiga z domu Konarska urodzona w 1919 roku, a mój tato Tadeusz Wawrzyniak urodzony w 1911 roku. Ja urodziłam się we wsi Buszyce, która położona jest w powiecie... W powiecie chyba Grodzisk Mazowiecki obecnie, w pobliżu Baranowa, to jest gmina Baranów. Więc to był dom rodzinny mojej mamy. Mama moja była najstarszą z rodzeństwa, miała sześcioro jeszcze rodzeństwa. A dziadkowie Konarscy to babcia Marcelina, a dziadek Wacław. Było to duże gospodarstwo, kilkanaście hektarów. W owym czasie, przed wojną, takie gospodarstwa należały do większych gospodarstw. Mój dziadek był sołtysem w tej wsi. Jak miałam około roku, rodzice przeprowadzili się wraz ze mną do gospodarstwa rodzinnego mojego taty, do Wawrzyniaków. Babcia Helena z domu Dukaczeka i dziadek Franciszek Wawrzyniak. To również było duże gospodarstwo, też kilkanaście hektarów, nie wiem dokładnie czy 15, czy 17 – w tych granicach. I to było takie wielotowarowe gospodarstwo. Tam uprawiało się zboża, ziemniaki, buraki cukrowe, jak również warzywa typu marchew, kapusta, no i pomidory i inne jeszcze warzywa, co nie było takie powszechne wtedy w gospodarstwach wiejskich. Jak również był koło domu duży sad posadzony przez mojego dziadka, a później uzupełniany przez mojego tatę, który skończył szkołę rolniczą w niedalekim tutaj Pszczelinie. Rodzice gospodarowali wspólnie z moimi dziadkami. W tym gospodarstwie czasami potrzeba było zatrudniać dodatkowe osoby, żeby można było sprostać w takich okresach jak żniwa, jak wykopki. To wtedy pracowali również pracownicy najemni. Ja przypominam sobie różne zdarzenia jak byłam w okresie między trzema a czterema laty. Pierwszym takim zdarzeniem, które mną bardzo wstrząsnęło, to było takie zdarzenie, że to było lato, było ciepło. Ja szłam, właściwie biegłam, podskakując sobie i coś tam nucąc przez sad i nagle widzę, tam stały takie beczki, duże beczki, słomiano-wiklinowe, plecione. I one służyły na spady owocowe. I ja nagle widzę, jak z takiej beczki wychyla

się głowa. Zarośnięty człowiek, długie włosy, ciemne, długa broda. Przestraszyłam się bardzo. Ten człowiek może jeszcze bardziej się przestraszył i schował się do tej beczki. A ja biegiem, z krzykiem pobiegłam do domu, ale na podwórku już spotkałam dziadka, który podszedł do mnie, uspokoił mnie, przytulił, uspokoił. Dziadek był takim serdecznym, ciepłym człowiekiem. Ja dziadka bardzo lubiłam. Kochałam, w ogóle miałam do dziadka ogromne zaufanie i w jego obecności czułam się bezpieczna. No i jak dziadek mnie przytulił, to mi powiedział, żebym nie bała się tego człowieka. On nie jest złym człowiekiem. On przebywa tutaj teraz u nas, bo nie ma własnego domu i nie obawiaj się go. Tu są jeszcze inni, podobni ludzie i też się ich nie obawiaj. Nie krzycz. I nie mów o tym nikomu, nie mów o tym, no jak tu przyjdą sąsiedzi, jak tu przyjdzie ktoś obcy do nas o tym nie mów, proszę. No ja absolutnie to do siebie przyswoiłam i od tego momentu byłam bardziej ostrożna. Nie biegałam tak wszędzie jak wcześniej, no bo jednak ten przypadek mnie troszkę przestraszył. Ale tak jak mówię dziadek mi wytłumaczył o co chodzi. No więc to było takie pierwsze zdarzenie, które dokładnie zapamiętałam. Ja do tej pory widzę ten sad, tą beczkę słomianą i tą wychylającą się głowę z tej beczki. Widzę to dokładnie do tej pory. Później, bardzo rzadko, ale widywałam tych ludzi. Dziadek jeszcze później powiedział mi, że tu przechowuje się trzech braci. Więc widywałam, ale nigdy nie widziałam razem trzech tych panów. Przeważnie to był jeden. Dwóch kiedyś widziałam, którzy na polu, tam gdzie rosły warzywa i pomidory, którzy ukradkiem tam próbowali coś zerwać. Przypuszczam, że nie dlatego, że obawiali się dziadka czy babci. Przypuszczam, że oni się ukrywali, więc nie tak otwarcie tam chodzili z podniesioną głową, tylko jakoś ukradkiem tam próbowali coś wziąć. Pamiętam również, że w naszym domu, tam u dziadków, poza domem, to był drewniany dom z bali, oszalowany drewnianymi deskami. Wiodła do niego taka... Wchodziło się przez taką ażurową... To się nazywa nie altanka, tylko... [głos prowadzącego] Ganek. Tak. No i wchodziło się do tak zwanej sieni i stamtąd wiodły drzwi do jednego pokoju na lewo, do drugiego pokoju na prawo, a trzeci pokój, taki mniejszy, był na wprost. W jednym z tych pokoi mieszkali dziadkowie, w drugim mieszkała wtedy moja ciocia Stasia, najmłodsza siostra mojego taty. A w tym trzecim pokoju mieszkaliśmy my, moi rodzice i ja. Ponadto był taki oddzielny budynek nazywany letnią kuchnią, w którym była duża kuchnia węglowa, drewniana, różnym opałem było palone. I był tam również taki duży piec chlebowy, w którym się również piekło ciasta. Ponadto był stolik i krzesła, przy którym latem się tam jadało posiłki. Więc widziałam, jak moja mama przeważnie gotowała, wcześniej w jakichś mniejszych naczyniach. A teraz jak już zauważyłam, te naczynia były większe. I widziałam, jak babcia odlewała z tych dużych naczyń do mniejszych część tego ugotowanego posiłku i nosiła – albo w jakichś fartuchach, które zakładała, takie duże fartuchy i w nich zanosila ten posiłek do obory. To była duża obora, w której były krowy, były świnie i były konie. Nad tą oborą był strych. I on był wypełniony słomą, sianem, żeby zimą nie trzeba było chodzić gdzieś tam dalej, do stodoły na przykład, tylko żeby to było już tu na miejscu, żeby te zwierzęta karmić, na przykład sianem, jak również zrzucić tą słomę na dół. Z tą słomą, ta słoma była taką wyściółką dla zwierząt, żeby one mogły się położyć na niej i odpocząć. Więc uzupełnię jeszcze to, co mówiłam poprzednio. Wieś, w której mieszkali dziadkowie Wawrzyniakowie nazywała się Holendry Baranowskie. Była to duża wieś, taka rozrzucona. Te gospodarstwa nie były skupione przy jednej drodze, tak jak bywa w niektórych wsiach, a tu były bardzo rozrzucone. Gospodarstwo moich dziadków było na skraju tej wsi. A drugi skraj to był pod Baranowem, więc ta odległość była przypuszczam około półtora kilometra co najmniej, albo dwa. No, ale teraz ja tam dawno nie byłam, natomiast w mojej dziecinniej pamięci to był bardzo duży obszar. To wszystko w pamięci dziecka zachowuje się jako coś większego. Bo później, jak tam zdarzało mi się być, żeby zawieźć tam nasze dzieci, żeby one zobaczyły te miejsca, żeby poznały miejsca, skąd ja pochodzę, skąd pochodzą moi rodzice. No to wtedy już to wszystko wyglądało trochę inaczej niż w tej mojej dziecinniej pamięci. Ale to dotyczy tylko pewnych

obszarów i wielkości. Natomiast to, o czym powiedziałam, to zdarzenie, kiedy zobaczyłam tego człowieka w tej beczie, to się nie zmienia. Ja go widzę ciągle tak i do końca życia będę go tak widziała. Więc mój tata miał troje rodzeństwa. Najstarszy brat, starszy brat od taty, Alek, urodził się w 1909 roku. W tym czasie, jak my się przeprowadziliśmy do dziadków Wawrzyniaków, to wujek Alek z rodziną mieszkał w Żyrardowie. Żyrardów od dawna jest znany jako miasto, w którym były fabryki włókiennicze. Już przed wojną były tam produkowane świetne materiały lniane, naprawdę dużo było tam produkowane. Mój wujek skończył taką szkołę włókienniczą i pracował tam w jednej z fabryk. Siostra mojego taty, Władysława, urodziła się w 1914 roku i w tym czasie, jak my tam zamieszkaliśmy u dziadków, to ona mieszkała już ze swoim mężem, również w tej wsi Holendry Baranowskie, tylko dalej od dziadków. No i była właśnie najmłodsza siostra mojego taty, Stanisława, Stasia, która urodziła się w 1922 roku. Ta najmłodsza siostra, taty, jak tam mieszkaliśmy, to dwa lata później chyba, przypuszczam, że to był chyba ,42 rok, wyszła za mąż za Czesława Grzelaka, który mieszkał w sąsiedniej wsi, która się nazywała Drybuc. Więc, jak już powiedziałam, w gospodarstwie dziadków przebywali ludzie narodowości żydowskiej. No, było to wtedy niebezpieczne przechowywanie ludzi tej narodowości. O tym ja się dowiedziałam już po wojnie. Dziadek, ani rodzice moi nie wtajemniczyli mnie, jak byłam jeszcze małym dzieckiem, jak to jest bardzo niebezpieczne, że cała rodzina może zginąć, jeśli ktoś doniesie. O tym to już po wojnie były rozmowy i na ten temat ja wtedy dowiedziałam się, jak to było niebezpieczne. A było to bardzo niebezpieczne, ponieważ okazało się też później, że w niedalekiej odległości od dziadków mieszkała pani, która była wdową, miała duże gospodarstwo i u niej zamieszkał pan, który prowadził młyn. Też w niedalekiej miejscowości. Ona się nazywała Oryszew. To było już tam w kierunku Wiskitek. Opowiem takie zdarzenie, które zapamiętałam bardzo wyraźnie, bardzo dokładnie. W nocy było pukanie do okna, a okno naszego pokoju, w którym mieszkaliśmy wychodziło na sad. Było z tyłu domu. Pukanie do okna, tata wstał, otworzył okno i rozmawiał z kimś. Ja tej rozmowy nie usłyszałam, nie zarejestrowałam. Przypuszczam, że to było ciągle wtedy, kiedy miałam jeszcze cztery lata. No i po pewnym czasie tata również poprosił mamę, żeby wstała i wpuścił do domu i do naszego pokoju dwóch panów, którzy poprosili o wodę, o miskę z wodą, ponieważ musieli się umyć. Ja leżałam w łóżku i zapamiętałam. Dokładnie zapamiętałam, szczególnie jednego z tych panów. Zapamiętałam, jak był ubrany. Był ubrany w białą koszulę, w kurtkę skórzaną. Był w spodniach, w bryczesach. Ja już wiedziałam, że takie spodnie tak się nazywają, ponieważ i mój tato, i dziadek jeździli na koniach, więc takie spodnie nosili i wiedziałam, że one tak się nazywają. Jak również był w butach odpowiednich do tych spodni, w takich długich butach. I ja tego pana też ciągle widzę przed oczami. Jak o nim mówię, to po prostu widzę go dokładnie. Przypuszczam, że przestraszyłam się bardzo tego widoku. Ta biała, zakrwawiona koszula, to dla mnie, dla dziecka, był widok przerażający. Ale nie mówiłam nic, nie odezwałam się ani słowem, pewnie ze strachu. Ani nie krzyczałam, ani nie płakałam, po prostu wpatrywałam się, co się dzieje. Więc ci panowie, a szczególnie ten pan w białej koszuli, umyli się. I tak, jakby rozmawiali z moimi rodzicami, a szczególnie z moim tatą. Więc wydawało mi się, że rodzice znają ich, znają tych panów. Jak się później, już po wojnie, okazało, to ten pan w białej koszuli był synem zarządcy dóbr drybuskich. To były duże... To był duży obszar pól. Bo to była własność jakiegoś właściciela ziemskiego właśnie tam na Drybusie i w sąsiedniej wsi, która się nazywała Pułapina. Te dobra później, po wojnie, zostały upaństwowione i zostały rozparcelowane chyba między takich uboższych ludzi. Przede wszystkim wśród tych ludzi, którzy tam pracowali w tych właśnie dobrach, na tych ziemiach. I ten pan w białej koszuli to był syn zarządcy tych dóbr. Nazywał się, to już później się dowiedziałam, jak byłam większa, starsza, nazywał się Jan Skrowaczewski. On był w podziemiu, był w AK i był egzekutorem. Wykonywał wyroki na donosicielach, na kolaborantach. Właśnie jak się później okazało, ja już tego po wojnie się dowie-

działam, a rodzice najprawdopodobniej już wtedy od tego pana się dowiedzieli, że oni wykonali wyrok na młynarzu, który mieszkał u tej wdowy. On był donosicielem ten młynarz. Miał ogląd, bo do niego przyjeżdżali gospodarze, żeby mleć zboże. I przypuszczam, że on jakieś, no musiał Niemcom chyba się... Robić jakieś notatki, zapiski i mówić Niemcom, kto ile zboża przywozi, kto ile tego zboża miele. I z tego najprawdopodobniej wynikało, czy ci rolnicy są wobec Niemców, oddają tyle zboża, ile powinni oddawać, czy nie zatrzymują dla siebie. Bo przypuszczam, że to było bardzo, bardzo łatwe do obliczenia. No i ci panowie się z tym donosicielem w taki niestety sposób rozprawili. I był... No, to było... Widok dla mnie był przerażający, ale ja byłam dzieckiem i nie znałam wielu spraw, które się działy właśnie w czasie wojny, w czasie okupacji. Co ludzie przechodzili, jakie to wszystko było bardzo trudne. No i właśnie tacy egzekutorzy musieli być bardzo odważni, bo przecież ich mogło spotkać coś jeszcze gorszego niż to, co oni wykonali na tym donosicielu. No, po prostu musieli być bardzo odważni. Jak później rozmawialiśmy w czasach powojennych, ten pan Skrowaczewski wykonał wiele takich wyroków w tamtym rejonie, w rejonie Żyrardowa, w rejonie Grodziska Mazowieckiego. Był, tak jak mówię, bardzo odważny, on działał pod pseudonimem, tak jak później przeczytałam, miał pseudonim „Klemanio”. Przez cały okres wojny i okupacji mieszkał w Drybusie, właśnie w tej wsi, tam razem ze swoimi rodzicami. Po wojnie przeprowadził się do Żyrardowa. Tam, wiem, że tam mieszkał, wiem, że tam miał rodzinę. I w tymże Żyrardowie spotkał go dziwny, do tej pory podobno niewytłumaczalny przypadek. W młodym jeszcze wieku, bo miał pięćdziesiąt kilka lat, i w jakimś stawie, wpadł do jakiegoś stawu i się utopił. Trudno było w to uwierzyć, ponieważ to był bardzo wysportowany człowiek, zapewne umiał pływać. No ale to już jest właśnie taka okółowojenna opowieść, którą słyszałam, dalsze losy pana Skrowaczewskiego. Była... Więc... Ci ludzie pochodzenia żydowskiego, narodowości żydowskiej, byli, przebywali tam u dziadków moich, ciągle, ale niekoniecznie wszyscy. Oni najprawdopodobniej mieli jakieś inne miejsca, w których się ukrywali, ale... Przypuszczam, że gospodarstwo dziadków było dobrym miejscem, bo właśnie w okresie letnio-jesiennym, to tu było dużo warzyw, dużo owoców, tak że niepostrzeżenie mogli się wykarmić. Niekoniecznie wtedy, kiedy babcia im przynosiła w garnkach to ciepłe pożywienie. Tak że do końca wojny... Pamiętam, że jak skończyła się wojna, jak była ta ogromna radość, że już się skończyła, to pamiętam albo jednego z tych panów, albo dwóch, tego nie potrafię dokładnie powiedzieć, jak na mostku, który był nad rzeką, która przepływała przez gospodarstwo moich dziadków żegnali się z moimi rodzicami i z dziadkami i bardzo im dziękowali za to, że mogli tutaj dożyć, u nich dożyć do końca wojny. No i takie było właściwie niemalże rodzinne pożegnanie. Później jeszcze opowiadała mi ciocia Stasia, ta najmłodsza siostra, która później mieszkała u dziadków, już jak wyszła za męża, ale to może później opowiem... W tej chwili chciałam jeszcze opowiedzieć zdarzenie, które opowiadała mi ciocia, jak ze swoim synem poszła na cmentarz do Baranowa, na grób dziadków. I jak szła do grobu, to zauważyła, że przy grobie ktoś jest i wydawało jej się, że to jest jeden z tych panów, którzy się przechowywali tam u dziadków. Ale jak doszła do grobu, to ten pan już odszedł. Nie wiem, czy on poznał ciocię również, czy nie chciał, może rozmawiać, a nie jestem... Takie było zdarzenie, to zdarzenie pamięta również syn cioci, mój brat cioteczny Waldek, tak że ono się wydarzyło. Chciałam również powiedzieć, że niedawno rozmawiałam również z córką cioci Stasi, z Danką, która zapamiętała wiadomości od cioci, które ciocia przekazywała swoim bliskim, że tam przechowywało się pięcioro ludzi narodowości żydowskiej, że nie tylko nad tą oborą, tam, gdzie była słoma i było siano, najprawdopodobniej tam czasami spali, ale również była kryjówka w stodole. Bo ciocia ją oglądała po wojnie, to już dziadek prawdopodobnie jej pokazał, gdzie była ta kryjówka, i ona ją widziała. I ona słyszała i zapamiętała, że w tym gospodarstwie dziadków przechowywało się pięcioro osób. No i takie było zakończenie. Pożegnanie z tymi ludźmi, tak jak mówię, z jednym albo z dwoma, którzy przeżyli wojnę i którzy poze-

gnali się z dziadkami i z moimi rodzicami. Później nie było już żadnego kontaktu. No nie było, po prostu nie było. Ci ludzie przeżyli przecież ogromną traumę w czasie wojny, oni dokładnie wiedzieli, co ich czeka, jeśli ktoś ich odkryje, znajdzie. Może nie chcieli wracać do tych miejsc, gdzie się przechowywali. Podziękowali i na tym się ta historia skończyła. [głos prowadzącego] Żadna informacja o ich nazwiskach nie przetrwała? Nie, w żadnej formie to nie przetrwało. Ja nie wiem i nie słyszałam, jak się te osoby nazywały. Nie wiem, skąd oni byli. Tam w okolicy, miejscami, gdzie były skupiska ludzi narodowości żydowskiej, to były Wiskitki przede wszystkim, to było takie małe miasteczko, w którym wszystkie sklepy prowadzili Żydzi. Tam przebywali i moi rodzice, i moi dziadkowie, bo to było w miarę blisko, jak trzeba było coś kupić, to czasami tam jeździli. Również w Żyrardowie było sporo ludzi narodowości żydowskiej. Tam i rodzice, i dziadkowie też bywali. Dziadkowie to w każdą sobotę jeździli. Babcia robiła masło, robiła twarogi z mleka krowiego, które było w gospodarstwie i na targowisku w Żyrardowie sprzedawała. No i również te warzywa: pomidory, ogórki, marchew, buraki cukrowe. To wszystko pamiętam dokładnie, jak było przygotowywane na sobotę do wyjazdu na targ. Były wyrywane te warzywa, płukane w rzece, w której była bardzo czysta woda i były wiązane w pęczki i układane. Wszyscy pomagaliśmy, ja też. Najchętniej rwałam marchewkę, bo bardzo mi się podobała. Dziadek mnie nawet wtajemniczył, że marchewka się nazywa karotka, jest bardzo dobra, słodka, to jest wczesna marchewka, że buraki to są buraki ćwikłowe, bardzo dobre, jak również pomidory miały taki smak, że ja już później takich pomidorów nigdzie nie jadłam. Były wspaniałe, pyszne. Tak że były przygotowywane te produkty, z którymi właśnie do Żyrardowa w każdą sobotę dziadkowie jeździli, a później za pieniądze, które uzyskali ze sprzedaży tych produktów, kupowali różne potrzebne rzeczy, czy wędliny, czy... no, różne rzeczy. Ja zawsze czekałam powrotu dziadków, bo zawsze coś dobrego dostawałam. Tak że poza tym, że było trudno, że było bardzo niebezpiecznie, no to toczyło się takie jakby normalne życie.